

- Ruszyli kłusem, żelazu naprzeciw, ruszyli jak wichur co gnie trawy ... trawy... liście?
- Żdźbła, synku, żdźbła... Jeszcze raz, od początku.
- Tatu, już umiem. Naprawdę. To nudne jest, już znam tę historię, wszystko wiem o Muraco i Gambaatarze...
- Wiem, że wiesz. Teraz jesteś młody i wydaje ci się, że wszystko pamiętasz. Więc póki jesteś młody, twoje myśli są miękkie jak kości przepiórki. Można wyryć w nich opowieść, by na starość móc ją czytać. Inaczej na starość zapomnisz.
- Ty nie zapomniałeś, tatu! Poza tym, i mateczka ją zna, i Selenge, i Uterys... Jak ja zapomnę, oni będą pamiętać!
- Chodź tu do mnie, żrebaku mały. Chodź. Siadaj. I zapamiętaj dobrze, co powiem. Dziś jestem przy tobie ja, i matka i twoja siostra i brat. Dziś wszyscy znają opowieść o bohaterach spod Adren, wszyscy mówią w naszym języku, wszyscy znają nasze pieśni. Ale może kiedyś nadejść dzień... Nie mówię, że tak się stanie, ale może się tak stać... Że nas wszystkich tu zabraknie. Że ty, synku, będziesz ostatnim Samnijczykiem na świecie i nikt oprócz ciebie nie będzie znał opowieści. Ty będziesz ją musiał powtarzać, ludziom, zwierzętom, kamieniom... Choćby miała przetrwać w śpiewie wiatru lub wyciu wilka...
- Tatu, tak się nie stanie! I po co nam opowieść, skoro nas już nie będzie....?
- Synku, twoja siostra będzie szamanką i ona ci lepiej to wyjaśni. Ja powiem ci tylko tyle – póki żyje opowieść... Oni też żyją...

\*\*\*

Obudził go trzask i łomot. Kilka sekund wystarczyło Aleksandrowi, żeby jego analityczny umysł rozpracował sytuację. Łomot był dźwiękiem rzucanej na ziemię ciężkiej metalowej sztaby. Takiej, jak ta, zamykająca bramę do korytarzy podziemnych i lochów. Jedno spojrzenie na malutkie okienko pod sufitem poinformowało go, że była noc, niemożliwe zatem, żeby przyszli po niego, aby wykonać egzekucję. Po oficjalnym wyroku musieli stracić go oficjalnie na oczach tłumu, a więc w dzień. Gdyby zdecydowano się usunąć go ukradkiem, jakaś prywatna zemsta, wówczas zabójcy przekupiliby strażników i weszli bezszelestnie. Tymczasem ktoś otwierał bramę w dużym pośpiechu, na tyle dużym, że pękło coś drewnianego, bo tak właśnie brzmiał ów pierwszy trzask. Po chwili przysłuchiwania się Aleksander rozróżnił też parskanie konia i dźwięk kopyt na kamieniach. Ciężki i głuchy, nie był to więc wierzchowiec, a potężnej budowy koń pociągowy. Taki, jak do zrywki drzewa w lasach...? Więc ktoś przybył go uwolnić. Dzięki ci, Toledo.

Kolejne odgłosy. Uderzenie, miękki odgłos padającego ciała z cichutkim dźwięcznym odgłosem metalu. Strażnik. Zgrzytnął klucz w zamku i w drzwiach stanął zakonnik.

- Aleksander Verlaine Marlowe?
- We własnej osobie – uśmiechnął się były ofirski dyplomata – Przybyliście niemal w ostatniej chwili.
- Witaj – zakonnik skłonił się lekko – Jestem Ernst dar Haubrice. Zakon Początku Świata potrzebuje ludzi wiernych Toledzie. Nasza Pani cię potrzebuje.

- Skąd wiedzieliście, gdzie jestem?
- Durgh, kapłan Toledy, z którym łączy cię więź, wskazał miejsce, gdzie jesteś.
- Durgh żyje?
- Nie mamy czasu. Wszystko wyjaśnię po drodze.
- Nie – Aleksander potrafił użyć takiego tonu, że nawet zakonnik odruchowo dostosował się do wydanego rozkazu – Narobiliście tyle hałasu, że musicie mieć pewność, że nikt was tu nie zaczepi. Więc najpierw moje pytania. Dokąd jedziemy?
- Do Korathii. Ofir będzie potrzebował wsparcia Bogini.
- Skąd to wiecie? – to pytanie miało na celu upewnienie się, bo wizje, jakie Aleksander miewał w snach, jasno potwierdzały wypowiedziane przez Haubrice'a zdanie.
- Objawiają to wizje od naszej Pani. Ofir jest zagrożony bardziej niż kiedykolwiek od początku swojego istnienia. Rzecz w tym, że Pani nie objawiła źródła zagrożenia, podejrzewamy że chodzić może o koczowników z Samnii lub o Wergundię.
- Ani jedno ani drugie – powiedział zamyśleni Aleksander – Co zatem mamy robić?
- Czeką nas zadanie we wszystkich miastach Ofiru, zwiększyć ilość wyznawców naszej Pani lub innych bogów, a nade wszystko – określić zagrożenie. Wszystkie zaś wizje wskazywały za ciebie i Durgha, jako będących odpowiedzią na nasze pytania. Ty zaś przede wszystkim odpowiesz na pytanie, co się stało z naszym bratem Wernarem i jak to się stało, że Olaf wbrew naszym zaleceniom zawarł układ z Eudomarem. Ruszamy do Ofiru. Są tu także twoi towarzysze, którzy pomagali cię odnaleźć.
- Jacy towarzysze?
- Elf, niejaki Onfis Telebri czy jakoś tak. I Sephion z Korathii.

\*\*\*

Trencjusz był załamany. Najchętniej rzuciłby w diabły całą tą robotę, zdobiony srebrem kałamarz z kryształu z rozkoszą roztrzaskałby o ścianę, zwoje z rozmachem wrzuciłby do kominka, uprzednio poskakawszy po nich odpowiednio długo. A potem poszedłby na wino, prościutko do Zajadu pod Głową Chimery, razem z dziewczynami z Akademii Alchemicznej. Ale nie mógł. Im bardziej nie mógł, tym bardziej ogarniała go na to ochota. I tym bardziej nie mógł. Bo wiedział, że katigia, jak wpadnie w złość, to los jego będzie zbliżony do tego, który chciał zafundować zniechęconym kartkom. Katigia nadzorowała osobiście powstawanie kroniki na zlecenie wysoko postawionych osób. Mistrzynie Era Telemekia Zuri, zwierzchniczka katedry magii ognistej z tytułem katigia, czyli profesor, była niezmiernie przywiązana do tego projektu. Kronika, powtarzała, jest opowieścią, w opowieści zaś rządzi ten, kto opowiada. Opowieść zaś jest pamięcią, kroniki są pamięcią narodów, starannie trzeba dobierać to, co w pamięci zapisane zostanie. Terencjusz wyobraził sobie jej oczy, kiedy jest choćby zdenerwowana i westchnął, opanowując skurcz żołądka. Westchnął jeszcze raz i usiadł ponownie przy pulpicy, po czym zamacał przycięte pióro w ozdobnym kałamarzu i wykaligrafował:

"Rok 858 sam w sobie w nieprzewidziane wypadki obfity, zapowiedzią był kolejnych straszliwych i w skutki brzemiennej wydarzeń. Wszystkie one były wynikiem zdrady i knucia, a jedyne dobro, jakie przyniosły, było takie, że wielu naszych rodaków we wszystkich pięciu miastach powróciło do wiary w bogów. Zaludniły się na powrót słoneczne świątynie Izosa, zaś za sprawą niezwykle aktywnego i potężnego Zakonu Początku Świata, służącego Pani Równowagi, powstały liczne kręgi i świątynie Toledy, gdzie ludzie przybywali odnaleźć spokój i ukoić drążący ich strach. Tak oto, zwłaszcza w Korathii, która stała się centrum tego błogosławionego kultu, Zakon stał się głównym oparciem dla przerażonego wydarzeniami ludu Ofiru.

Po pierwsze zatem, gdy potęga Wergundii wreszcie na północy złamana została, a na południu armia nasza wreszcie w jej granice bohatersko się wgryzła, niespodziewanie za plecami Senatu i pięciu Kratistosów został zawarty układ..."

\*\*\*

- Gdzie on jest? – darł się Mistrz Ceremonii, aż echo szło po wąskich korytarzach – Przecież godzinę temu miał wyjść i lud pozdrowić, arcykapłani czekają, mistrzowie druidzcy czekają, książęta czekają... Gdzie ten tryntyjski obwieś... – nie dokończył. Ręka, uzbrojona w czarny nabijany żelazem karwasz i rękawicę bojową, zacisnęła się na drapowanej białej tkaninie pod szyją dostojnika, okręciła lekko i uniosła do góry razem z tym, na czym tkanina była omotana. Charcząc i łapiąc powietrze Mistrz Ceremonii nie mógł już się drzeć, więc człowiek, który go podniósł, odezwał się głosem cichym i nad wyraz spokojnym:

- Dobry człowieku, pohamuj niewyparzony jęzor, bo przysięgam na modwitowy oręż, że cię wyzwę na ubitą ziemię. A jako żeś wieprz spasiony, to zanim na ten plac dojdiesz, pod samym ciężarem miecza gotowa ci żyłka pęknąć. Jeśli cię jeszcze raz złapię na nieodpowiedniej odzywce względem Olafa syna Elmeryka z rodu Danwiga, to ci ową odzywkę wpakuję z powrotem przez dowolny otwór.

Zakończywszy przemowę młodzieniec rozluźnił uchwyt i zajął się poprawianiem rękawicy podczas gdy dostojnik przez dłuższą chwilę poświęcił się łapaniu powietrza w usta. Gdy odzyskał oddech i poprawił strój, spojrzął na swojego prześladowcę i szybkoitko zgiął się w bardzo głębokim ukłonie. Durzo hrabia Blint książę Mawarot, człowiek numer dwa w Wergundii, niespiesznie odwrócił się od poblądnęło człowieka, żeby napotkać na karcący wzrok margrafa La Touree.

- Durzo, rozumiem, że cię wnerwił – rzekł z wyrzutem arystokrata – ale z tym spasionym wieprzem toś przesadził...

Durzo stropił się nieco.

- Żartowałem – zająknął się – Magnus, no przecież on jest co najmniej o połowę grubszy od ciebie... – skłamał gładko.

- Nie widzę tu grubych – fuknął żartem margraf – Co najwyżej dobrze zbudowanych.

- No właśnie, on jest spasiony, a ty dobrze zbudowany i tu właśnie leży różnica. Ale ty mi mów, co z Olafem.

Margraf spoważniał.

- Atak.

Szybkim krokiem podążyli do komnaty, przy drzwiach której Magnus i Frida Geisslig, dekurion kohorty gwardyjskiej, osobistej ochrony władców Wergundii, ustawili potrójne stráže. W środku zastali scenę, którą znali doskonale. Powtarzała się bowiem przez poprzednie tygodnie z częstotliwością do kilku dni.

Pomieszczenie wypełniała melodia. Na podłodze leżał, trzęsąc się w spazmach i dreszczach, Olaf Egilson syn Elmeryka z rodu Danwiga, Książę-Protector Wergundii. Za oknami komnaty natomiast czekali już od kilku godzin dostojnicy i władcy, dowódcy i kapłani. Czekali na uroczystą koronację.

Przy Olafie klęczała Kharie, teralska mistrzyni druidzka, zwana Leśną Panią. Gestem nakazała nie przeszkadzać, nie przerywając monotonnego zaśpiewu, kreśliła w powietrzu, nad Olafem i za jego głową, nieznanne im znaki. Nad dygoczącym i śliniącym się władcą lewitowała, zalewając jego drżącą postać mleczną poświatą, kryształowa bryła wielkości dłoni.

- Chwila! – z przeciwległego rogu pomieszczenia odezwał się dźwięczny kobiecy głos – Już kończę, Kharie, wytrzymaj jeszcze chwilę! – ostatnie słowo zagłuszył głuchy odgłos wybuchu, wszyscy obecni oprócz druidki i Olafa rzucili się w tamtym kierunku. Silia dmuchaniem i machaniem dłonią rozpedziła gryzący dym, unoszący się znad słoja. Coś, co właśnie w słoju wybuchło, wciąż jeszcze bulgotało cichutko, gdy drobna alchemiczka przelewała ciecz do srebrnego pucharu. Stojący obok mężczyzna wyrecytował krótką formułę i wrzucił do pucharu trzymany w dłoniach czarny kamień.

- Telamont, to miał być jaspis – mruknęła Silia, mieszając miksturę.

- Wiem – psionik odgarnął znad czoła nieposłuszny jasny kosmyk – Ale po ostatnich testach okazało się, że obsydianu są lepszym nośnikiem przy rytuałach przywracających świadomość.

- Z drogi, Durzo – alchemiczka bezceremonialnie odepchnęła księcia barkiem, chociaż była od niego o półtora głowy niższa, i ostrożnie podążyła z pucharem w kierunku druidki.

Proces trwał nieco krócej niż zwykle, zapewne skrócony działaniem obsydianu. Po chwili kryształ opadł na nieruchome ciało Olafa, a po kolejnej – sam Olaf usiadł ciężko i jęknął, łapiąc się za głowę. Silia natychmiast podała miksturę przeciwbólową.

Gdy orszak Księcia Protectora w końcu ruszył, poprzedzany przez heroldów, otoczony kordonem wojów z reprezentacyjnych kohort stolicy, dwie drobne kobiety, idące tuż obok samego księcia wymieniły stroskane spojrzenia.

- Ile to potrwa? – szepnęła alchemiczka.

- Gdybym tylko mogła wiedzieć – Kharie wiedziała, że Silia nie ma bynajmniej na myśli trwania uroczystej i skomplikowanej ceremonii – Obawiam się, że tak będzie już zawsze. Jeśli wierzysz w bogów... Módl się do nich, żeby nie było gorzej.

\*\*\*

"I tak to objął władzę Olaf, syn Elmeryka, który to, nim pierwszy rok jego panowania minął, zyskał wśród współczesnych przydomek "Szalony". I nie jedyną przyczyną tego było, iż mając niczym w darze weselnym ofiarowane sojusze tam, gdzie wprzód wrogów samych widzieć mógł, on miast potęgę swej ojcowizny rozszerzać, wycofał się zupełnie do swojej stolicy i w niej zamknął.

Nikt się jednak Bogom nie skarżył, gdyż brak wodza osłabiał znacznie wergundzkie tymeny, co na rękę było połączonej armii naszej, maszerującej wówczas na Akwirgran. Pani Kratista Rania zwana Liryzyjką zdecydowała, że większość armii, granicy w Itharos strzegącej, ruszy z inwazją, by północ odciążyć. Poparli ją pozostali kratistosi i tak oto po raz pierwszy od stuleci armia nasza przekroczyła linię twierdzy i ruszyła na zachód.

Zaiste, wart pióra lepszego niż moje był to marsz, kolejne nasze zwycięstwa znaczyły szlak bojowy. Rozproszone i pozbawione jednolitego dowództwa kohorty Zielonego Tymenu cofały się w nieładzie, aż stanęły na linii fortów, broniących od wschodu Akwizgranu, stolicy owego chwiejnego mocarstwa. I pieśń najwspanialsza choćby oddać nie zdoła strachu, w którym pograżyła się cała wschodnia Wergundia, leżąc u naszych stóp. Od trzystu lat oręż nasz nie zaznał podobnej euforii zwycięstwa, od czasów, kiedyśmy gromili długouchych w górach Larionu. I zapewne rozciągałyby się dziś Ofir aż po granice Liryzji, gdyby nie podła i niesłychana wprost zdrada, ze strony tych, którymiśmy się niczym dziećmi opiekowali w niedoli i wspierali...."

\*\*\*

Sale kniaziowskiego cesarza w Samarkandzie nie ustępowały bogactwem najwspanialszym pałacom ludzkiego i elfiego świata. Takich zdobień, ociekających złotem i nabijanych zielonym turmalinem, a już na pewno tak kunsztownych dywanów, tkanych w symboliczne wzory, nie mieli władcy ani w Akwirgranie, ani nawet w pięciu miastach Ofiru. Co prawda w pierwszych latach rządów Eudomara z Samarkandy wyjechały na południe liczne transporty ze zrabowanym dobrem, to mimo wszystko trzeba przyznać, że sam pałac wycofująca się armia wergundzka pozostawiła nietkniętą, w pełnej krasie i przepychu.

Senator Arethyny, szlachetny Lokan Olonteus, od dzieciństwa wychowany w poszanowaniu piękna, mijając kolejne sale cesarza w myślach dziękował łaskawości i trzeźwości politycznej Eudomara, która kazała mu ocalić od żołnierskiej chciwości ten okaz stepowego arcyzmu. Gdy dotarł zaś do sali audiencyjnej, by zobaczyć obecną władczynię stepowej krainy, kniahinię Mirę Sartarian z rodu Garmada, wcześniejsze uniesienia wydały mu się śmieszne w porównaniu z samą Panią Stepu. Córa Jaskółki, przezwana w Ofirze "Śnieżną", wydała mu się bowiem piękniejsza niż sale Samarkandy, Arethyny i Akwirgranu razem wzięte. Poważna, blisko czterdziestoletnia kobieta, stojąca na niewielkim podwyższeniu, które niwelowało jej mało imponujący wzrost, odziana w jedwabne szarawary i wyszywany złotą nicią kaftan ze stójką, rzeczywiście była istotą niezwyklej urody. Czarne i lśniące jak obsydian włosy obejmował wyszywany perłami diadem, zakończony w szpic, spod którego opadały sznury drogich kamieni, mieszając się z kosmykami włosów i dodając blasku wielkim oczom, ocienionym gęstymi aksamitnymi rzęsami. Zanim Lokan i jego towarzysze zdążyli podnieść głowy z ukłonu, gdy tylko samnijski dostojnik zakończył długą, zgodną z dyplomatycznym protokołem, prezentację, Pani Stepu sama rozpoczęła rozmowę.

- Kratistos Tarazjusz jest wielce łaskaw – odezwała się, a Lokanowi wydało się, że otula go aksamitną tkaniną.

- Miło mi to słyszeć – z dworskim ukłonem odezwał się polemarcha Teodanian, pełniący rolę szefa poselstwa. Zanim zdążył ułożyć kolejne zdanie, władczyni przerwała mu tonem znacznie bardziej chłodnym:

- Jest wielce łaskaw, przysyłając tu swoich posłów. Oszczędził bowiem drogi naszym wierzchowcom. Zamiast kolejny raz wysyłać do Arethyny naszych posłów, wielce uniznienie prosimy o przekazanie naszemu krewniakowi posłania od nas.

- Ale...

- Posłanie owo – głos Miry zadźwięczał metalicznie – zawiera się w krótkim zdaniu. Ponieważ cierpliwość nasza się skończyła, wszyscy osadnicy ofirscy w przeciągu dwóch księżyców mają opuścić Południowe Stepy.

W sali zapanowała pełna napięcia cisza. Lokan, rozglądając się dyskretnie, przyjrzał się otaczającym podwyższenie strażnikom pałacowym, zauważył też stojącego za krzesłem Miry młodzieńca w eleganckim stroju, lat nie więcej niż szesnastu, obok zaś siedzącą na niskim krześle dziewczynę z narzuconą na twarz zasłonką z cieniutkich sznureczków. Nie musiał się długo domyślać, że to dzieci władczyni. Selenge była znana nawet za granicami Samni jako obiecująca wróżbitka, w kulturze stepowej zwana szamanką. Syn Miry, Uterys, zgodnie z tradycją klanu kniaziowskiego uczył się sztuki wojennej. Z zamyślenia wyrwał Lokana podniesiony głos towarzysza.

- Nie po prośbie przyjechaliśmy, pani, a z informacją – Teodanian wyraźnie zirytował się wypowiedzią władczyni – O Południowe Stepy prosić nie musimy, to siła naszych enomów chroniła je dotąd przed zakusami wojów Eudomara. Chroniła także ciebie i twojego stryja, gdyście pozbawieni domu tułali się po bezdrożach!

Oprócz dwojga młodych książąt, z których chłopiec, wyraźnie zaciskając pięści, stanął tuż za matczynym ramieniem, dostrzegł Lokan jeszcze starszego wiekiem mężczyznę w skromnym stroju, z wyrazem zafrasowania na twarzy obserwującego sytuację. Mężczyzna ten podszedł do Uterysa, położył mu rękę na ramieniu, a młody książę cofnął się i na powrót stanął w cieniu tronu.

- Nikt nie prosił Arethyny o tę obronę. Nikt też jej nigdy nie sprawdził, bowiem dzielni wojownicy Złotego Miasta nie zwykli opuszczać jego murów. Nie mów mi więc, polemarcho, że od waszej armii zależy coś więcej niż poziom spożywania trunków w waszych gospodach – teraz głos Pani Stepu był niski i ostry, słowa wypowiadała szybko, dobierając je jednak starannie tak, jakby przygotowała je wcześniej – Pominę fakt, żeś w kniaziowskim pałacu podniósł na mnie głos, ty zaś wrócisz do swego pana i przekażesz mu, co powiedziałam. I zrobisz to natychmiast.

Po tych słowach wydarzenia zaczęły toczyć się w tak zawrotnym tempie, że Lokan zorientował się w całej sytuacji, gdy za późno było już nie tylko na odwrócenie kolei rzeczy, ale i na jakąkolwiek reakcję.

- Kobieta, która zarządza pasącym się w stepie bydłem, chce wydawać rozkazy panu tysięcznego miasta – wyszczał Teodanian, ignorując poruszenie wśród straży, wyraźnie ukierunkowane na wiszące u bioder jatagany – Paradne doprawdy. Gdyby nie poparcie Ofiru, a Arethyny w szczególności, Samnia nie tylko nie ostałaby się pod naporem wergundzkich barbarzyńców, ale nie umiałaby nawet zjednoczyć swoich dzielących namioty z końmi plemion! Nie umieliście obronić własnej stolicy, a wyciągacie ręce po cudze, gdy wiszące nad wami niebezpieczeństwo cudownym zrządzeniem losu cofnęło się samo. Władcy Ofiru nie będą tego tolerować. Kratistos Tarajusz nie będzie tego tolerować!

W całej sali tylko Mira stała zupełnie nieporuszona, gdy podniosła dłoń, oburzone komentarze i podniesione głosy za jej plecami zamilkły jak nożem ucięte.

- Tarajusz Samonita – odezwała się cicho w następującej ciszy – ma wiele talentów. Jednego jednak nie posiada. Nie umie mianowicie wybierać ludzi na posłów. Polemarcho, opuścisz teraz mój dom i mój kraj, niezwłocznie. Zostaniesz zaopatrzony na drogę, bowiem jesteś posłem, nie waz się jednak wracać kiedykolwiek w moje granice. A moje granice, granice samnijskiego kaganatu, zaczynają się dziesięć mil od murów Arethyny. Każdy osadnik ofirski bez mojej zgody uprawiający tam ziemię zostanie uznany za wroga i wydalony, a w razie oporu zabity. Koniec audiencji.

Tym razem zbiorowe "ochnięcie" oburzenia dało się słyszeć w gronie posłów, które oprócz Teodeniana i Lokana obejmowało jeszcze czterech ludzi. Polemarcha poczerwieniał na twarzy.

- Zaiste mój pan popełnił błąd – warknął, podchodząc krok bliżej podwyższenia – Popełnił błąd wysyłając cywilizowane poselstwo do bydła, miast użyć bata! – mówiąc to wyjął z tuby wiszącej przy pasie zwinięty i opatrzony pieczęcią papier, po czym wyzywającym gestem rzucił pod nogi kniahini – Z podłogi podnoś, jak na bydło przystało i jak bat to potraktuj!

Twarz Miry nie drgnęła niemal, gdy po tych słowach zrobiła szybki krok do przodu i umykający niemal oczom ruch ręką. Poseł zwinął się w pół, przyciskając dłonie do rozciętego policzka, który spotkał się niespodziewanie z wierzchem uzbrojonej w pierścienie dłoni Samnijki. Zanim się podniósł, na jego karku spoczęła ręka owego starszego mężczyzny, którego Lokan dostrzegł za tronem. "Uter" przemknęło Lokanowi przez myśl "Uter Tarhanita, uzdrowiciel, bohater spod Arden, przyjaciel Olafa, księcia Wergundii, mąż Miry". Tymczasem poseł ofirski, trzymany w pochylonej pozycji przez mężczyznę, wysłuchiwał rozkazu kniahini:

- W mojej osobie rzuciłeś obelgę w twarz całej Samni. Jako, że w twojej parszywiej osobie reprezentowana jest cała Arethyna, cała Arethyna usłyszy moją odpowiedź. Ty tymczasem oraz ci, których ze sobą przyprowadziłeś, wychodzą. Nie przez drzwi, jak ludzie, a przez okno, jak pomyje.

Mira uniosła rękę i w sali zakotłowało się. Strażnicy odpuścili broń, którą trzymali w szachu posłów, a skoczyli na nich z gołymi rękoma. Tamci, chociaż uzbrojeni, nie wyszli z tego bez szwanku. Po krótkiej szamotaninie ktoś otworzył okiennicę i odsunął kotarę, sześciu mężczyzn jeden po drugim zostało przywleczonych do okna i wyrzuconych na znajdujący się blisko sześć metrów niżej kamienny bruk.

Gdyby Lokan mógł obserwować wnętrze sali kniaziowskiej po tym zajściu, ucieszyłby się, że jego domysły co do członków kniaziowskiej rodziny były słuszne. Gdy posłowie opuścili pomieszczenie, mężczyzna w skromnym stroju podszedł do kniahini i objął ją, uspokajając jej drżące od emocji ręce. Podszedł też młodzieniec, którego pełne emfazy i buńczuczne krzyki słyszane były wśród zdziwionej służby pod oknem.

- To musiało w końcu nastąpić – westchnął Uter .

– Wysłałam tam już cztery nasze poselstwa, dawałam kolejne terminy – powiedziała kniahini - Ofir uszanuje tylko siłę. Dość ich władzy nad nami. Dopóki nie staniemy z nimi jak równy z równym, nigdy nie podniesiemy się z kolan.

- Jaskółeczko, co ty planujesz?

- Arethyna zapłaci za zachowanie swojego posła. Bo jego zachowanie to miniatura ich podejścia do nas.

- Nie rzucaj się na Ofir, póki nie jesteśmy silni...

Rozmowę przerwała nagła cisza. Zamilkli i znieruchomieli strażnicy, zamilkł nagle Uter, znieruchomiła kniahini, zamilkł nawet krzyżący wciąż obelgi pod adresem Arethyny młody książę. Wszyscy w ciężkiej, nienaturalnej ciszy odwrócili się w kierunku tronu, gdzie poniżej podwyższenia, na niskim stołku siedziała Selenge. Przez całe zajście nawet nie drgnęła, ani nie odsunęła zasłony z oczu, teraz zaś, jak nagle powstały wir, ściągnęła na siebie uwagę wszystkich obecnych, nie wydając żadnego dźwięku.

- Arethyna – szepnęła, a wszyscy obecni mieli wrażenie, że słyszą ten szept wewnątrz własnej głowy – Arethyna upadnie.

Lokan przeraziłby się tych słów z pewnością bardziej niż wszyscy obecni, gdyby mógł je słyszeć. Nie mógł jednak usłyszeć ani szamanki, ani głosów pochylających się nad nim ludzi. Krew z rozbitej o kamienie czaszki wsiąkała już w piasek między kostkami bruku.

\*\*\*

"W samnijskiej stolicy ci, których długie lata ochranialiśmy, wbili nam nóż w plecy. Nowa kniahini, Mira Garmada, ogłosiła przywrócenie Samni statusu kaganatu, co się na nasz język tłumaczy "wielkiego księstwa", jakie zgodnie z samnijskimi legendami istniało przed wiekami na północnych stepach. Stało się to jeszcze zanim Olaf zawarł rozejm z Eudomarem, a ten bezpiecznie wycofał się do nikomu nieznanego nory i zniknął z kart dziejów. Gdy tylko Mira ogłosiła swoje państwo owym Kaganatem, jakby na potwierdzenie jej rangi z Samarkandy wycofali się Wergundowie, a z północy w obręb samnijskich granic przybywać zaczęli wojownicy z dzikich zupełnie plemion, nieznanymi nawet naszym geografom, żądni łupów i wojennej sławy pod rozkazami nowej Wielkiej Kniahini, przyciągani tutaj nie tylko jej imieniem, ale i imieniem jej sławnego małżonka, Utera Tarhanity, bohatera spod Arden. Ten, jako że w przyjaźni był z Olafem, księciem Wergundii, rychło doprowadził do zawarcia sojuszu między tymi dwoma państwami i tak oto Samnia zakończyła rozdział swoich dziejów w roli wergundzkiego protektoratu, sama stawszy się agresorem i najeźdźcą, zdradziwszy stare sojusze, ramię w ramię z dążącą do światowej supremacji Wergundią."

\*\*\*

- W dupie mam światową supremację – oznajmił Olaf tonem kończącym wszelkie dyskusje – I tradycje mojego ojca też mam w dupie. Armia wycofuje się z Samni, Terali, Liryzi i Tryntu. Kropka. Czarny Tymen ma wspomóc granicę na południu, bo zaraz się zdziwicie, jaśnie wasza mać książęta, jak Akwirgran zostanie szóstym miastem Ofiru.

- Trzeba mu wybaczyć – szepnął zdecydowanie zbyt głośnym szeptem Orwidor, młodszy z książąt Mawarot, stojący za krzesłem Durza – Wychował się wśród prymitywnych górali... auuu...



Stojąca obok Silia dyskretnie, acz mocno kopnęła go w kostkę. Zgromadzeni, książęta i grafowie Wergundii, dystygowanie udali, że nie słyszeli.

- Stanie się wedle twojego rozkazu, jaśnie książę – odezwał się graf Degbert z Thorn, dowódca Pierwszego Tymenu – Jeśli mogę zasugerować, część sił północnej armii powinna jednak zostać na granicy z dawnymi protektoratami, po tym oczywiście, jak zostanie ustalony w dwustronnych rokowaniach jej przebieg. Władza w Tryncie i Terali jest nadal niestabilna.

- Tak niech będzie – odpowiedział Olaf – Tylko, żeby mi żadnych naruszeń granicy, zwłaszcza z moim Tryntem...

Ogromne, dębowe drzwi do Sali Rycerskiej, w której zwyczajowo odbywały się narady wojskowe, skrzypnęły znacząco, nie przerywając jednak wypowiedzi Księcia Protektora. Do sali wszedł szaro odziany mężczyzna, zgromadzeni, rozpoznając człowieka wywiadu, zrobili mu miejsce, a ten z ukłonem podszedł do grafa Dagberta i zameldował mu coś szeptem. Wiadomość musiała być szokująca nawet dla tak starego wojaka, jak dowódca Czarnego Tymenu, bo aż się wyprostował i zażądał potwierdzenia. Posłaniec poważnie skinął głową.

- Jaśnie książę – graf wstał, przerywając Olafowi wykład o znaczeniu jakości dróg dla transportu wyżywienia dla armii - Proszę o wybaczenie. Obawiam się, że jednak większość północnej armii będzie musiała zostać tam, gdzie jest.

Obecni zamilkli.

- Jak co? Co się stało?

- W Tryncie wybuchło powstanie przeciwko nam. Oddziały rebeliantów zajęły twierdzę północną Kamieniec i oblegają nasz garnizon w Askaronie. Żądają ogłoszenia w Tryncie dyktatury i marszu na Wergundię. Część ludzi Einarsona stanęła przeciwko nim. To już wojna domowa.

- Jak to? – przerwał mu rozgorączkowany Durzo książę Mawarot – A co, przepraszam, robi jarl Leif? Powinien objąć władzę i zrobić z tym porządek...

- Jarl Leif nie żyje.

Tym razem nikt nie przerwał grobowej ciszy, jaka zapadła w Sali Rycerskiej.

\*\*\*

Byli coraz bliżej. Właściwie tuż za jego plecami. Nie biegli, Ulf słyszał, pomimo własnego charczącego oddechu i adrenaliny uderzającej mu w żyły, jak chroboczą po gruzie ich odwłoki. Jakby ktoś przeciągał worek metalowych odłamków po kamieniach... Raz po raz czuł, jak jedna z ich macek oplata się wokół jego ramienia, jak sięga do gardła, czuł w ustach słoną substancję, którą macka była pokryta. Wrzeszczał, otrząsał się i biegł dalej. Była już przed nim. Czerniała w ciemnej płaszczyźnie ściany jak wyrwany kawał rzeczywistości, ciemniejsza niż ciemność. Brama tunelu. Otrząsnął kolejną mackę i skoczył. Najpierw biegł, rękami odpychając się od zimnych ścian, potem szedł pochylony, wreszcie upadł na kolana i tak posuwał się dalej. Tunel się zwężał. Choć wiedział, że to niemożliwe, zdawało mu się, że mokre ściany tunelu lepią się do jego ciała, do boków, do ramion. Posuwał się z trudem. Niemożliwe, żeby tunel się tak szybko zwężył... Każdy krok był wysiłkiem ponad siły. Ulf wrzasnął, ale tunel wchłoniął jego wrzask jak gąbki morskie wchłaniają wodę. Wrzasnął jeszcze raz i

prawie się udławił własnym krzykiem. Zatrzymał się i zrozumiał, że nie porusza się wcale. Tunel się nie zwężał wraz z przebytą odległością, od zaciskał się na nim. Fiordyjczyk w końcu zrozumiał. To pułapka. Zebrał w sobie wszystkie siły i szarpnął ciałem wstecz, poczuł jak ściany tunelu...

uderzają go mocno w lewą nerkę...

po czym udało mu się wrzasnąć.

- Ulf, zamknij mordę z łaski swojej – odezwał się pieszczotliwie stojący nad nim Meriadoc – Tylko Tulva raczy wiedzieć, co się kryje za tą mgłą, więc nie wszyscy muszą dokładnie znać nasze położenie.

Ulf podniósł się z pokładu, wypluł słoną wodę i wgramolił się z powrotem na ławę, z której ewidentnie spadł przez sen. Mokra od mgły koszula przylepiła się do ramion. Siedzący obok Ivar litościwie rzucił mu jedno z futer, w które był opatulony.

- To się musi skończyć, Ulf – burknął – Wykończysz się przez te koszmary. Potem jesteś kompletnie nieprzytomny, w walce nie można na ciebie liczyć.

- Daj spokój...

- A nie dam. Żebyś wiedział, że nie dam. Jak tylko dotrzemy do domu, zabieram cię do świątyni Herby na Ynneyar. Bez dyskusji – uprzedził szykującego się do riposty wojownika, po czym zagrzebał się w futrach, ostentacyjnie ignorując argumenty.

- Ognie widać!

Spod futer dała się słyszeć wiązanka, zupełnie nie przystająca do kapłańskiej profesji Ivara. Meriadoc tymczasem bez słowa wyjął zza paska lekki toporek i podbiegł w kierunku stojącego na dziobie Einara. Ulf ociężale powlekł się za nim.

Rzeczywiście, w mleczej zasłonie, która otulała szczelnie ich niewielką knarę, łagodnie rozlewały się światła w postaci kilku żółtawych punktów.

- Diabli – mruknął Einar, wlepiając wzrok w biały tuman – To mogą być Talsoi.

- Tutaj? Tak daleko na północy? Podobno zresztą zaprzestali wypraw...

- To kto to jest? Nasi...?

- To muszą być nasi – odezwał się Ivar, który w końcu ruszył się spod futer – Musimy zaryzykować. Hej-hej!! – krzyknął – He... Ulf, co ty do jasnej wczyniasz?

Fiordyjczyk, blady jak ściana złapał go za rękaw i potrząsnął.

- Milcz! Oni tu są!

- Jacy oni?

- Widzą mnie, wyczuwają mnie, słyszą nas! Wszyscy, którzy przeszli przez Ścieżki, umrą!

Meriadoc zaklął pod nosem i złapał brata za ramiona, już otworzył usta do wyszukanej reprimendy, gdy nagle rozległo się mlasknięcie, coś przewróciło obu Fiordyjczyków na dziobie, zalało pokład strugą zimnej wody, a samego Meriadoca rzuciło aż pod przeciwległą burtę. Ten nie stracił

przytomności umysłu nawet, gdy ociekająca wodą szaro-srebrzysta macka owinęła się wokół jego szyi, toporek, którego nie wypuścił z dłoni, obrócił ostrzem do siebie i uderzył mocno nad własną głową. Czując, że jest ciągnięty po pokładzie, zapierał się nogami, uderzając raz po raz, tymczasem obok pojawiły się jeszcze dwie macki. Einar złapawszy wiszącą na burcie tarczę, przesmyknął się pod nimi i uderzył w tą, trzymającą przyjaciela.

- Ej, Helberdeham! – wrzasnął w kierunku kapłana – Rusz tu ten tyłek!!!!

Ivar był już przy nim, tkanka w końcu ustąpiła pod potężnymi uderzeniami i macka, z końcówką wiszącą na samej skórze, plusnęła na powrót do wody, a za nią dwie sąsiednie. Knara zakołysała się niebezpiecznie.

Meriadoc roztarł szyję.

- Nie spieszyście się, chłopaki.

- Weź nie marudź – skwitował Ivar, rozcierając na dłoniach leczniczą energię – Żyjesz? Znaczący jest dobrze.

- Taa, z nim jest dobrze – wtrącił Einar, rzucił tarczę i podbiegł do skulonego pod wioślarską ławą Ulfa. Po tym jak potrząśnięcia nie pomogły, wymierzył przyjacielowi solidny policzek – Ulfie Hrenvingsonie!!! Bierz się w garść!!

To najwyraźniej pomogło, bo Ulf spojrzał trochę przytomniejszym wzrokiem i stęknął:

- Widzicie, mówiłem... Zabijają nas wszystkich...

- Niedoczekanie. Toż to zwykły kraken, dostał po zadzie, aż się zakurzyło, a mokry był...

- Po prawdzie to nie taki zwykły – mruknął Ivar, podchodząc – Widziałeś ty kiedy tej wielkości krakena...?

- Zwykły, tylko duży...

- I w takim kolorze...?

- Zwykły, tylko...

Einarowi przerwał trzask pękającej burty, nagle szarpnięcie łodzią wywróciło go na pokład, podobnie zresztą, jak wszystkich pozostałych. Nad ich głowami śmignęły sine macki w ilości, której właściwie nie zdążyli policzyć. Rzucili się do walki.

Einar metodycznie, zamaszystymi cięciami miecza odciął dwa najbliższe odnóża, ale trzecie zważyło go z nóg. Ivar nie zdążył wyszarpnąć miecza, więc walił na oślep trzymaną za rant tarczą. Ulf z dzikim wrzaskiem dobył broni i stojąc na ławce wymachiwał na oślep, siekąc na przemian to macki, to powietrze. Meriadoc, któremu paskudztwo owinęło się wokół stopy, odrąbał mackę toporem, ale dwie kolejne już oplatały mu się wokół szyi. Zdążył w jedną wbić topór, ale zacisk powoli pozbawiał go oddechu, pociemniało mu w oczach. Szarpnął się w panice, bezskutecznie. Gdzieś na granicy świadomości zamajaczyło coś, czego nie znał dotąd. Coś szepnęło mu do ucha "to koniec"... W tym samym momencie poczuł uderzenie. Uścisk zelżał. Usłyszał kolejne uderzenie, i kolejne. Macki spłynęły z niego bezwładnie i plasnęły o pokład, ale Fiordyjczyk nie słyszał tego, zajęty gwałtownym łapaniem powietrza. Gdy odzyskał trzeźwość umysłu, dostrzegł drugi statek, smukły bojowy drakkar,

szepiony z ich knarą hakami abordażowymi. Na trapach stali łucznicy i wypuszczali strzałę za strzałą w kierunku szamoczących się po pokładzie macek. Ktoś krzyczał "Swoi!" "Walić w krakena!". "Nasi" pomyślał Meriadoc, po czym z idealnym wyczuciem dramatyizmu zemdłał.

Gdy odzyskał świadomość, najpierw dostrzegł siedzącego przy nim Ivara i ten widok, jak nic innego na świecie, przekonał go, że wszystko jest w porządku.

- Ej, Helberdeham – mruknął, podnosząc się – Nie znudziło ci się jeszcze składanie nas po kolejnych burdach?

- Dawno – Ivar uniósł brwi – Dlatego pozostałych wywaliłem za burtę.

Einar parsknął tuż obok w samą porę, bo Meriadoc prawie uwierzył.

- Mało brakowało, a rzeczywiście tam byście się wszyscy znaleźli – odezwał się rosty Fiordyjczyk, stojący za Einarem – Ścigaliśmy to stworzenie od samych wybrzeży Ynneyar.

- Od wybrzeży? Kto widział krakena na wybrzeżu? – zdumiał się szczerze Ivar – Po kolorze żagła domyślam, że szkód narobił?

Meriadoc spojrział w górę, żeby dostrzec czarne pasy prostokątnego żagla na maszcie drakkara.

- Narobił. Poważnych. Niesiemy złe wieści.

- Mów – odezwał się Ulf – Gorszych wieści, niż te, które sam mam, nie wypowiesz.

Fiordyjczyk opuścił głowę.

- Wypowiem, synu Hrenvinga. Stworzenie to niespodziewanie nieznaną nam magią uderzyło w Radekilde, Plac Żałoby, ten znajdujący się u stóp klifu w Ynneyar. Wielu poległo. Padł nasz jarl, Bjorn Ryży. Sława mu. Padł także ojciec wasz, Hrenving, a z nim wielu z jego hirdu.

- Zaraz – Ivar położył dłoń na ramieniu Ulfa, obawiając się nieprzewidywalnej reakcji. Ten jednak tylko opuścił głowę – Zaraz. Po co jarlowie zgromadzili się na Radekilde? Kogo mieliście opłakiwać?

- Sojusznika. W Tryncie zginął jarl Leif Einarson.

- Jesteśmy przekłęci... – stęknął Ulf siadając i ujmując głowę w dłonie. Ivar usiadł również.

- Na zielniki Herby – mruknął – Niech mnie szczyści jak po herbatce z rumianku, jeśli tu się nie dzieje coś podejrzanie dziwnego.

\*\*\*

- To nie jest dobry pomysł, Leifie – odezwała się Sigrin, podnosząc głowę znad owijaczy, które właśnie wiązała – Nie zdążysz wrócić do Askaronu. Leif...? Leif, nie ignoruj mnie!

Sigrin była do jarla łudzaco podobna, podobnego wzrostu, szczupła, jasnooka, nawet włosy mieli w identycznym ciemnoblonde kolorze. Sigrin zdarzało się pełnić rolę jarlowskiego sobowtóra. Mało kto wierzył, że tych dwoje nie jest spokrewnionych. Choć nie łączyły ich więzy krwi, Sigrin Akdottir

pełniła funkcję pierwszego oficera partyzanckiej armii Leifa. Była jego prawą ręką, osobą, której ufał bezgranicznie i której rad słuchał. Dotychczas.

- Leif! – jarl drgnął, jak wyrwany ze snu.

- Tak? Nie, nie, nie ignoruję cię. Zamyśliłem się.

- Wracamy do Askaronu! Wiec rozpoczyna się pojutrze.

- Sigrin. Nie wezmę udziału w wiecu – Leif wciągnął powietrze, jakby wyrzucał z siebie coś, co od dawna go nurtowało – Nie przyjmę wyboru na księcia i nie przyłożę ręki do wyboru kogoś innego.

Sigrin dosłownie skamieniała, a jej zdumiony wzrok mówił wszystko, co cisnęło się jej na usta. Pakujący leśne obozowisko wojowie, którzy usłyszeli deklarację jarla, także znieruchomieli w wyczekiwaniu na wyjaśnienia. Leif odetchnął.

- Dobrze usłyszeliście. Sigrin, o tą chwilę walczyliśmy ponad dwadzieścia lat. Całe życie niemal. O to, żeby przywódcy rodów znów zebrali się na wiecu i pośród siebie wybrali następcę rodu Tradamonu. Wolni. Nieprzymuszeni. Niczym. Nawet... wdzięcznością.

Sigrin wstała, porzucając niezawiązany owijacz.

- Czy ty na głowę upadłeś? – była chyba jedyną osobą, która w tym tonie mogła się zwracać do jarla – To ty wywalczyłeś im ten wiec, to ty ... ty jesteś Tryntem! Jak mogliby ofiarować koronę komukolwiek innemu?

Leif podszedł do niej i położył ręce na ramionach wojowniczk.

- Chciałbym móc ci to wytłumaczyć – powiedział, a w jego głosie brzmiał przytłaczający smutek – Ale wiem, że nie zrozumiesz. Nie zrozumiecie. Tak, Sigrin, byłem Tryntem, jakkolwiek nie jest to na wyrost, przez te dwadzieścia lat. I już dość. Teraz czas na nich. Na tych pasterzy, na handlarzy, na klany, na jarłów. Byliśmy na czas wojny. Na czas ciemności. Dla Tryntu wstaje dzień i to nie jest nasz dzień.

Sigrin spojrzała na jarla bardzo, ale to bardzo poważnie i podsumowała:

- Bredzisz.

Leif uśmiechnął się lekko.

- Jadę do Arden. Wrócę za kilka godzin.

- Leif, powiadam ci, bredzisz! Wydaje ci się, że coś nam zostało dane ot tak, że teraz już wszystko będzie dobrze, że wszystko pójdzie mięciutko, jak po górskim serze? To głupi jesteś, jeśli tak myślisz. W Askaronie wciąż stoi wergundzki garnizon. Olaf co prawda nam sprzyja i mieni się twoim przyjacielem, ale po tym zajściu w Silberbergu, gdy musiałam go wyciągać z jakichś magicznych zaświatów przez jakiś kawałek kryształu, wybacz, ale nie ufam mu za grosz. Na granicy mamy Terali, a za Górami Silber nowa kniahini ogłosiła nam kaganat. Sądź, że oni poradzą sobie z tym wszystkim bez ciebie...? Nie odwracaj się, jak do ciebie mówię!

Leif machnął ręką na pożegnanie.

- Za kilka godzin – rzucił na odchodne.

Droga, którą szedł, stanowiła jego drogę ku własnej przeszłości. Pod jego stopami rozciągało się obniżenie Arden, odbudowany gród lśnił wśród burej równiny białymi, piaskowcowymi murami, korespondując kolorystycznie z połaciami zalegającego jeszcze śniegu. U stóp murów nie było namiotów, ale na dalszym planie widać było zakole rzeki, burej, wezbranej, wiosennej. Jak wtedy. Minął rozdroże wiodące do grodu i zszedł nad rzekę. Niezatrzymywany i nierozpoznany minął błotnistą drogę wiodącą do brodu i ruszył ścieżką wzdłuż rzeki, w górę jej biegu, na wzniesienie, z którego rozciągał się widok na zakole, warownię, rozlany bród. Na szczycie wzniesienia widniał samotny menhir, wysoki na dwóch ludzi. Gładko ociosana powierzchnia ozdobiona była misternymi plecionkami, a wykuty zgodnie z tryntyjskim obyczajem napis runiczny w idealnie stylistycznym języku literackim głosił "Tu spoczywa Rangveig Żelaznoręka z rodu Tradamonu, księżna tryntyjska. Poległa w bitwie u wrót swego kraju, na czele najlepszych wojowników północnych ziem." Leif uśmiechnął się w myślach.

- Miał fantazję... – mruknął z podziwem pod adresem Elmeryka, z którego rozkazu powstał obelisk, po czym usiadł u stóp menhira. Oparł się plecami o gładki kamień i zamknął oczy. Nie był na polu bitwy ani razu od tamtego czasu.

- Już po wszystkim – odezwał się sam do siebie. Czuł śmieszność tego gestu, ale potrzeba powierzenia słów powiewom wiatru, szumowi Rany, ciszy... była silniejsza – Wykonałem twój rozkaz co do joty. Żeby tego dokonać kłamałem, oszukiwałem i zdradzałem. Straciłem swój honor po wielokroć. Bez mrugnięcia okiem wydawałem na śmierć tych, którzy mi zaufali – uśmiechnął się ponuro sam do siebie – To jakiś cud, że ktokolwiek jeszcze chce słuchać moich rozkazów. Proponują mi twój tron, wiesz? Wiesz, musisz wiedzieć. Umarli wiedzą takie rzeczy. Podobno. Zresztą, cholera wie, a może mówię do kamienia, a po tamtej stronie jest tylko ciemność... – zamilkł na chwilę przytłoczony własną wizją, ale po chwili kontynuował – Nie mogę, właśnie dlatego, że miałaś rację. Władca musi być odbiciem szlachetności, wielkości swego kraju, swego narodu. Dlatego ty mogłaś polec z honorem i w glorii. Zaś rozkaz "za wszelką cenę" wydałaś komu innemu. I to było naprawdę za wszelką cenę... Przeżyć, uratować co mogę. Za wszelką cenę... Trynt jest wolny, wiesz? Ale wiesz, co jest ważniejsze? Że ja jestem wolny. Wolny od twojego rozkazu. I nie mam pojęcia, co mam z tym zrobić, bo jestem człowiekiem bez godności, honoru i wartości.

Zamilkł pogrążony w myślach, które stały się szybsze niż słowa. Przetaczały się nad nim pędzące przy wschodnim wietrze chmury. U jego stóp ludzie przeprawiali się przez Ranę, konie ciągnęły wypakowane towarami wozy. Jakiś patrol wergundzki jechał na południe. Dzieci bawiły się w ganianego przy moście warowni.

Z zamyślenia wyrwały go głosy rozmawiających ludzi. Zerwał się odruchowo, gotów do ucieczki, ale po chwili namysłu został na miejscu. Ścieżką od Arden nadchodziło dwoje ludzi, mężczyzna i chłopiec, obaj odziani biednie, ale ciepło. Starszy niósł wieniec, spleciony z gałązek świerka i jemioly, ozdobiony czarną wstążką. Taki, jaki kładziono na kurhanach bliskich. "Idą oddać hołd" pomyślał. A potem wypadki potoczyły się lawinowo. Z przeciwnej strony dał się słyszeć tętent kopyt, ktoś jechał galopem pod górę od strony gór. Chłop i jego synek, bo podobieństwo wskazywało, iż są blisko spokrewnieni, zwabieni niezwykłym ruchem, podbiegli do obelisku niemal równocześnie z czterema konnymi. Leif zaklął i wyszarpnął miecz. Wieśniak zaklął i wyjął siekiere. Chłopiec podniósł z ziemi kij.

Konni otoczyli ich na szczycie wzgórza. Ubrani w stroje całkowicie przeciętne w Tryncie, szarawary, wełniane tuniki, jednocześnie swoim zgraniem, wyszkolonymi ruchami, jakimi podnieśli naciągnięte kusze, zaprzeczali temu wyglądowi. Leif widział w swoim życiu takich na pęczki. Skrytobójcy.

- Jesteś zdrajcą, Leifie – odezwał się jeden – Sprzedałeś tryntyską wolność i dogadałeś się w Wergundem. W każdym razie tak uważają ci, którzy mi zapłacili.

- Musieli ci sporo zapłacić – warknął jarl.

- Podobno ułożyłeś się z wrogiem. Sam byłem świadkiem – głos tego człowieka wydał się Leifowi znajomy. Po kolejnych dwóch słowach był już pewien, że go spotkał wcześniej. Opuścił miecz tak, żeby być gotowym do odwrotnego ciosu, i udając zrezygnowanie podszedł do mówiącego.

- Moje życie może być więcej warte niż to, co ci zapłacili – odezwał się, obserwując jeźdźca kątem oka – Poddam się bez walki, co ocali kilku twoich, w zamian za darowanie życia.

Jeździec roześmiał się i zdjął kaptur.

- Twoje życie już raz miałem w rękach – wszystko stanęło Leifowi przed oczami jakby było wczoraj. Silberberg. Początek wojny wyzwolenczej. Ten człowiek. Morenn.

I wtedy się zaczęło. Wieśniak wrzasnął coś w rodzaju "Uciekaj, panie!!!", chłopiec zamachnął się kijem, płosząc jednego z koni, który stanął dęba. Jeździec zdołał strzelić, ale trafił jedynie w łydkę chłopca. Leif, czekając na to, skoczył do przodu, tnąc po nodze jeźdźca z mocnego wygięcia łokcia mieczem odwróconym głowicą ku górze. Ten szarpnął się na przeciwną stronę, a wtedy w udzie utkwiał mu bełt wystrzelony przez jednego z towarzyszy. Leif skoczył, chwytając za kulbakę, zrzucił zabójcę i zawisł na siodle przewieszony wpół. Wprawnym szarpnięciem tułowia zarzucił prawą nogę na koński zad i chwycił lejce. Droga ucieczki stała otworem.

Zatrzymał się. Ułamek sekundy wystarczył do oceny sytuacji. Wieśniak półkłęszcząc darł się ile wlezie i oganiał od atakującego drwalską siekierą, chłopiec ranny w ramię płakał leżąc płasko na ziemi. Czwarty zabójca właśnie szarżował na Leifa z uniesioną nad głową szablą. Dwóch pozostałych właśnie zorientowało się w sytuacji i ruszało w tym samym kierunku. Mógł im uciec. Wieśniak i chłopiec zginęliby w imię wolności Tryntu, jak bez mała dziesiątki poprzednich, przypadkowych i nieprzypadkowych osób przez ostatnie lata. On by przeżył, bo przecież "za wszelką cenę".

Szarpnął końską szyję w lewo, mocno szturchnął zwierzę lewą piętą za popręgiem. Koń zawrócił w miejscu. Cios pierwszego odbił wprawnym wywinięciem miecza, pęd przeniósł go obok przeciwnika. Dwóch następnych minął łukiem, szarpnął lejcami tuz pod menhirem. Stopy, które miał wolne, bo nie zdążył ich wbić w strzemiona, przerzucił nad końską głowę i zeskoczył.

- Na siodło! Już! – wrzasnął wprawnym do rozkazywania tonem, chowając miecz. Wieśniak nawet nie pomyślał o sprzeciwie. Leif podrzucił go za łydkę na siodło, po czym złapał podbiegającego chłopaka i podsadził na koński zad. Wyjął oręż na powrót i płazem trzepnął konia po udzie. Zwierzę zerwało się do galopu.

Jarl westchnął i uśmiechnął się. Sytuacja wydała mu się niesłychanie zabawna.

- No, Rangveig – mruknął podnosząc miecz, choć nie miał nim szansy sparować bełtu z podnoszonej właśnie przez Morena kuszy – Wygląda na to, że wkrótce się zobaczymy.

\*\*\*

Tak oto północ zajęła się własnymi sprawami i problemami, ci, którzy wcześniej wzywali pomocy naszej i nawoływali nas do wyjścia zza kamiennych murów twierdz Itharos, teraz nie byli zainteresowani wcale losem naszym, ani tych dzielnych enomów, maszerujących zwycięsko na Akwirgran, ani tych, którzy z nagłą stawić musieli czoła oszalałym z wściekłości zdziwiałym hordom, które nadciągnęły, by w proch obrócić blask, wiedzę i cywilizację miast naszych.

\*\*\*

Przez chwilę na murach zrobiło się szaro. Na komendę stojący na blankach przykłąkli, chowając się za tarczami, kto nie miał tarczy, chował się za czymkolwiek, co mogło zatrzymać pędzący grot. Po kilku sekundach wystrzelone pod odpowiednim kątem strzały opadły na szeregi obrońców i po rozlegającym się jęku Horacy mógł się zorientować, ilu jednak zlekceważyło rozkaz krycia się. Zaklął pod nosem, ale nie miał czasu się nad tym rozczulać, po czwartym tygodniu oblężenia wiedział, że po salwie łuczników nastąpi z nieubłaganą regularnością kolejny atak na mury.

- Cztery enomy na Niski Mur!! – wrzasnął ile sił w płucach – Już! Dawać mi tu pontekontera! Gdzie jest Aleksy??

- Książę, pontekonter Aleksy nie żyje...

- Psiakreeeeew!- wrzasnął Horacy, zirytowany nie na żarty. Brak jednego z dowodzących poważnie utrudniał obronę odcinka. Wytarosił zza pasa sakiewkę i wyjął z niej herbowy pierścień – Goniec! Zasuwasz do Marcusa na Biały Bastion z tym, przekaz, że właśnie awansował na pontekontera i przekaz mu rozkaz. Natychmiast siły na Niski Mur, bo za chwilę pójdzie atak... No do jasnej cholery! Już idą!! Po cholere tu jeszcze stoisz?? Leć!

Krótką oceną sytuacji i książę zrozumiał, że goniec nie zdąży. Nie zatrzymując go jednak, rozejrzał się wśród stojących na rawelinie muru oddziałach. Powinno wystarczyć, pomyślał. Sam rawelin, oddzielony fosami i wyższy o kilka metrów od pozostałych odcinków muru rzadko bywał obiektem szturmów, za to odcinek łączący rawelin z sąsiednim bastionem, zwany popularnie Niskim Murem, regularnie obrywał wszystkimi siłami, jakie koczownicy mieli z tej strony miasta do dyspozycji. I tak szczęściem w nieszczęściu był fakt, że kratistos Tarajusz, dbający o reprezentacyjny wygląd Arethyny, rokrocznie zlecał konserwacje murów. Gdyby nie to, samnijska horda zastałaby mury w formie porośniętych roślinnością zabytkowych wałów, po których koronie prowadzą bulwary spacerowe dla eleganckich mieszkańców miasta, jak na przykład bywało w Korathii. Horacy w myślach podziękował ojcu za to staranie.

- Gwardia! Wszystkie enomy za mną! Piąty i ósmy! Na czele! Reszta za nimi, natychmiast! – wrzasnął i nie czekając ruszył w kierunku schodów prowadzących na Niski Mur, wiedząc, że Leoris zgarnie gwardzistów i za chwilę będą przy nim.

Gdy wpadli na blanki, szturm już trwał. Samniyczycy wstrzymali ostrzał, żeby nie ranić swoich, za to wspinających się atakujących po drabinach poprzedzały alchemiczne ładunki z dławiącym gazem, rzucone za pomocą rzemiennych proc. Horacy rozstawił gwardzistów w ostatniej chwili. Świszczące i syczące bombki odbiły się od ich tarcz. Stojący zaraz obok Leoris nagle wybuchnął radosnym śmiechem. Horacy spojrzał na niego pytającym wzrokiem.

- Jak na ofirskim weselu!



Obydwaj wybuchnęli śmiechem, radośnie uśmiechając się do wspomnień z zupełnie innego oblężenia, z walki z zupełnie innym wrogiem, a to wspomnienie niespodziewanie dodało im otuchy i nadziei, jako że tamten wróg był potężniejszy, a mury słabsze. Tymczasem ruszył szturm i na murach pojawili się pierwsi koczownicy. W gryzącym dymie, wśród huku wybuchów, sami usmoleni, odziani w futra, niejednokrotnie noszący hełmy ze zwierzęcych czaszek, wojownicy z północnych stepów przerażali obrońców bardziej, niż sami Samnijczycy, choć ci ostatni bywali lepiej uzbrojeni i wyszkoleni. Za ludźmi z północy szli ich szamani i wojownikom Arethyny nie raz wydawało się, że zamiast z ludźmi, walczą z jakimś duchami zwierząt, czasem po starciu znajdowali swoich, rozszarpanych niedźwiedzimi pazurami, kłami irbisów, a może jakichś zwierzęcych demonów. Dość, że Horacy byłby szczęśliwy, gdyby tym razem do szturmów szli sami synowie stepów Samni, dzicy i zawzięci, ale jednak ludzcy. Nic z tego. Tym razem także razem z odzianymi w futra wojownikami przyszły pazurzaste potwory i wizje szaleńca, z którymi musieli walczyć bardziej niż z prymitywnym orężem. Dym dusił i osłabiał, umysł opierający się zakłębionym szamanów powodował wściekły ból głowy, ramiona dźwigające brązowe puklerze słabły w upale i szaleństwie. Ale stali niezłomnie, zrzucając z murów kolejnych barbarzyńców. Huk i ryk wzmagął się i w którymś momencie Horacemu wydało się, że całe miasto za jego plecami huczy i ryczy. Trącił tarczą walczącego obok brata, dając znak, że na chwilę schodzi do drugiego szeregu. Już zamierzał wrzasnąć, gdzieś do jasnej podziemia się wysłany na Biały Bastion goniec... gdy zamarł z otwartymi ustami, spojrzawszy na scenę za swoimi plecami. Miasto płonęło. Huk za plecami nie był złudzeniem, od strony Białego i Czerwonego Bastionu dobiegał ryk, który zagłuszał atak na Niskim Murze. W tej samej chwili zobaczył gońca, usmolonego, ubabranego krwią. Gdy zobaczył Horacego, najwyraźniej opuściła go determinacja, bo opadł na kolana tuż przy schodach prowadzących na Niski Mur.

- Książę! Biały Bastion padł! Barbarzyńcy przeszli! Cała dzielnica Torgemony płonie. Z nimi idą jakieś potwory szamańskie, jakieś zjawy, idzie ogień... Idą na Kapitol...!

Pod Horacym ugięły się nogi. Pomimo otaczającego go dymu i roztopiającego tarcze upału, zrobiło mu się bardzo, bardzo zimno. Odpiął pasek pod brodą, zdjął książęcy hełm z czerwonym pióropuszem i wciągnął powietrze. Nie, miasto jeszcze nie padło.

- Leoris!

Drugi z książąt przekazał miejsce w szeregu wojownikowi za nim i odwrócił się do brata, zamarł na chwilę patrząc na płonące miasto.

- Zostaw tu piąty i ósmy, bierz resztę Gwardii i na Kapitol, natychmiast. Po drodze wyślij gońców na rawelin, niech rezerwę puszcza na Biały Bastion! Trzeba zamknąć Torgemonę w kleszczach, dzielnica jest stracona, ale oni spłoną razem z nią! Zrozumiałeś? Leoris!

Młodszy książę oprzytomniał i kiwnął głową, nie tracąc czasu na słowa. Niżsi rangą dowódcy już przekazywali dalej rozkazy i po krótkiej chwili na murze zrobiło się nieco przestronniej. Horacy westchnął i nacisnął na głowę ozdobny hełm.

- No, panowie! – krzyknął do pozostałych przy nim kilkudziesięciu wojowników z Gwardii Kratistosów – Żeby mi tu żaden barbarzyńca nie przeszedł! Taaarcze!

Nad ich głowami znów zrobiło się ciemno od lecących strzał...

Następnego dnia nad Arethyną wstawał niezwykle cichy poranek. Mgły i dymy ścieliły się wśród murów, ruin, strzelistych wież i bastionów, wszędzie unosił się gryzący zapach alchemicznej broni, wymieszany z mdłą wonią pogorzeliiska. Przez otwartą na oścież złoconą bramę do miasta wjeżdżała kniahini Mira Sartarian. Flankujący ją wojownicy z jej klanu biegli truchtem po obydwu bokach jej wierzchowca. Śnieżna zatrzymała się na placu przed bramą. Naprzeciw szedł mingbej Tamur-khan, dowodzący szturmem poprzedniego dnia, z nim szli wojownicy w karnych oddziałach, trzymający w szachu nielicznych wychylających się z bram mieszkańców.

Spotkali się na środku placu. Tamur-khan oddał należny kniahini, a teraz już właściwie kagani pokłon.

- Sława ci, Tamur-khanie – powitała go Mira tradycyjną formułą należną zwyciężcom – Stepy śpiewają pieśń o tobie – odczekała chwilę, po czym przeszła do spraw przyziemnych – Jak wygląda sytuacja?

- Miasto jest nasze, pani.

- Kratistos?

- Uciekł.

- Jego dwaj synowie?

- Jeden poległ na murach, drugi w obronie pałacu.

- Gwardia?

- Wybita do nogi.

Mira uśmiechnęła się ponuro.

- Mieszkańców wygnać, kto się będzie opierał – zabić. Miasto spalić.

\*\*\*

"Upadku Arethyny opisywać tu nie będę, bo zbyt wątle są słowa moje, by oddać całość naszej rozpacz. Strzeliste wieże, cudne ogrody, fontanny i krużganki, parki i pałace miasta pochłonął ogień, wraz z tym, co kryły w sobie biblioteki i archiwa, świątynie i domy mieszkańców..."

Mistrzynie Era Zuri zwykle bywała nieprzenikniona i rzadko swoim uczniom okazywała jakiegokolwiek uczucia. Tym razem jednak Terencjusz, obserwując jej reakcję na ukończony przez niego fragment kroniki, miał wrażenie, po raz pierwsze podczas swojej nauki w Akademii, że Mistrzynie Era jest wrażliwym człowiekiem. To wrażenie nader szybko jednak zostało rozwiane.

- Terencjuszu, po to otrzymałeś polecenie spisania wydarzeń, żebyś nauczył się odnajdywać właściwe słowa, nie zaś po to, byś się ich brakiem usprawiedliwił. Kronikę dokończysz w późniejszym terminie, teraz zaś zejdiesz do archiwów i poszerzysz swoją wiedzę o wydarzeniach ostatnich lat, żebyś właściwe słowa był w stanie nie tylko dobrać, ale i wzbogacić o kolejne. Teraz wyjdź...

Mistrzynie Magii odczekała, aż za żakiem zamkną się drzwi, a potem jeszcze chwilę, aż umilkną jego kroki na korytarzu. Dopiero wtedy pozwoliła sobie oprzeć głowę na dłoniach i płakać nad upadkiem Arethyny i śmiercią przyjaciół.

\*\*\*

Enid aep Fidhail zbyt długo przebywała poza Laro. Teraz, gdy wróciła do domu, musiała od nowa uczyć się panowania nad emocjami i twarzą, która zdobyły zyskane po powrocie czarne tatuaże. Mijało już dziesięć lat od kiedy wróciła w chwale bitewnej, o jej walce u boku książąt Podziemi w Laro krążyły legendy. Jej dawne słabości poszły w zapomnienie, rodzina uznała jej udział w zwycięstwie nad księciem-liszem z Gór Silber, a nade wszystko sławę zdobytą w wojnie z Elmerykiem oraz z podziemnymi goblinami. Zgodnie z obyczajem w skomplikowanym rytuale Enid została na powrót przyjęta do społeczności Laro i symbolicznie powitana przez przodków, na jej twarzy zaś wytatuowano liniowe wzory, symbolizujące każde z jej zwycięstw. Po latach wygnania księżniczka Laromatonu wróciła na należne jej miejsce.

Teraz jednak Enid z trudem utrzymywała reguły skomplikowanej etykiety, mimo wszystko przyjaźń uświęconą krwią ceniąc bardziej, niż obyczaj. Zamiast stać dumnie na czele orszaku Laro, Enid zrzuciła płaszcz, przeskoczyła przez płytką fosę i pobiegła na spotkanie przyjaciółki. Nenuriel Raeten-An-Aren, idąca na czele podziemnych elfów, roześmiała się i zrobiła to samo. Po chwili obie padły sobie w ramiona na oczach zdziwionych pobratymców, zgromadzonych na dziedzińcu zamku Telfamba, jednego z najbardziej tajemniczych miejsc, nawet dla samych elfów. W niespełną godzinę później surmy oznajmiły przybycie poselstwa Aenthil. Enid i Nenuriel, już w pełni z zasadami etykiety, powitały córkę Adarnila z Aenthil, Helathai.

- To śmieszne – odezwał się Keledi, gdy wraz z orszakiem Aenthil pozwolono im już odpocząć w namiotach. Lily, będąca dowódcą ochrony pani Helathai, dopiero co zeszła z pierwszej warty – Że akurat trzy kobiety się tu spotykają.

- Przypadek – odparła Lily – Przecież we wszystkich trzech armiach dowodzą akurat mężczyźni. No, z wyjątkiem podziemnych, gdzie właśnie dowodzi Nenuriel. Wiesz, że pierwszy raz ich widziałam...

- Podziemnych?

- Tak. Są niezwykli. Małomówni, jak Laro, ale inni, tacy chłodni. Jakbyś... – Lily zawiesiła głos, szukając porównania – jakbyś patrzył na lód na jeziorze. Niby nienaruszalny, ale w każdej chwili może pęknąć i cię pochłoniąć.

- O czym mówili?

- O zawarciu pokoju. Najwięcej akurat mówiła pani Helethai, o tym wszystkim, co się u nas dzieje. Pani Enid z Laro mówiła o tym, że na południu ledwie bronią granicy gór, a pani Nenuriel – że cofają się na północ, ale nie mają za bardzo dokąd, bo na wysokości Czerwonych Kłów zaczyna się granica z goblinami, a ci ufortyfikowali się tam potężnie. Blokują zresztą Wergundii możliwości wydobycia rud, szantażując Olafa.

- Niewesoło – mruknął Keledi – Wojna się szykuje.

Lily wzruszyła ramionami, rozsznurowując piękny, zdobiony karwasz.

- Nie pierwsza, nie ostatnia. Choć przyznaję, wolałam walki z dwunożnym przeciwnikiem. W tej wojnie najwięcej do powiedzenia będą mieli magowie, ci z kasty Strażników zwłaszcza.

- Nie lubię ich – skrzywił się elf.

- Pewnie. Bo oni nie są od lubienia, tylko od obrony. Jak wrócimy, książę Adarnil pewnie pośle wszystkie siły na południe. Ważne, że przynajmniej wojna z Laro została zawieszona.

- Więc jednak podpisały układ?

Lily roześmiała się.

- Zczłowieczałeś, Keledi. Niczego nie podpisywały. Oznajmiły w obliczu Mocy miejsca, że wstrzymują wojnę wzajemną na konto walki ze wspólnym wrogiem. Złożyły przysięgi i potwierdziły rytuałem. Strażnicy z Telfamba zresztą towarzyszyli w całym obrzędzie. Tak więc, mój drogi – roześmiała się, szturchając go zaczepnie – byliśmy świadkami wiekopomnego wydarzenia. Ostatni raz zawieszenie broni z Laro miało miejsce ...

- Pięć tysięcy lat temu, wiem.

- Mówiłam, żezczłowieczałeś! Pięć tysięcy 'ludzkich' lat! A teraz tutaj, na Telfamba...

- Srebrzyste Wzgórze... Niezwykle miejsce.

- Nasza najpotężniejsza twierdza w końcu.

- E tam, najpotężniejsza – tym razem Keledi nabrał mentorskiego tonu – Tę samą moc mają Dereą i Maidaen, i jeszcze ta na samej granicy południowej, jak ona się nazywa?

- Tiliedaran.

- No właśnie. To jest potęga, Lily. Może dla nas, z kasty ohtatyro, nie jest to tak na pierwszy rzut oka widoczne, zresztą my oboje naoglądaliśmy się ludzkich twierdz i zamków, murów z kamienia, sięgających nieba, grubych na kilka metrów. Ludzka magia jest słaba, dlatego muszą obwarowywać się kamieniem.

- To niezupełnie tak – Lily okryła się kocem – Pani Lasu, druidka Kharie z Terali stworzyła przecież magiczne mury, które oparły się nawet Wergundom Elmeryka. A jest człowiekiem.

- Wiem. Ale ona była szkolona w Aenthil. I tam zresztą wróciła, ubiegłego lata, po tym, jak Olafowi odbiło i spalił jej rodzinny gród, Lędę. Kharie przedtem pomagała mu w rządzeniu, po tej awanturze pod twierdzą kamieniecką, tamtej jesieni...

- Pamiętam. Olaf obejmował tron, naznaczony magią... Kharie go leczyła. Nieźle się jej odwdzieczył.

- No właśnie... Tak to bywa z zasługami... Wszystko zależy od tego, kto kroniki pisze. Tym lepiej zresztą. Teraz Kharie wspomůže nas.

- Mhm – mruknęła Lily już spod koca – O świcie wracamy do Aenthil. Kto wie, ile jeszcze przed nami. Kto wie, kto co o nas napiszą kroniki... O ile cokolwiek napiszą... Śpij.